



Dawid Juraszek

小
龙

Xiao Long

Jedwab i porcelana

CZERWONY PTAK

TOM III

RW2010

DAWID JURASZEK
JEDWAB I PORCELANA
Tom III
CZERWONY PTAK

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2014

Redakcja i korekta zespół RW2010

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Dawid Juraszek 2014

Okładka Copyright © Mateo

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2014

e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-024-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytowań w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Spis treści

Rozdział I w którym koniec zwyczajnego dnia przynosi początek niezwykłych wypadków.....	6
Rozdział II o trudach stawiania pierwszych kroków na nowo.....	12
Rozdział III ...oraz na chybotliwej dźonce.....	16
Rozdział IV o tym, jak bardzo można się pomylić – albo i nie.....	21
Rozdział V o kłopotach wynikłych ze znalezienia się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.....	30
Rozdział VI o kłopotach wynikłych ze znalezienia się w niewłaściwym mieście o niewłaściwym czasie.....	39
Rozdział VII o nowych twarzach i starych budowlach.....	44
Rozdział VIII w którym rezydencja na wzgórzach odsłania straszniejsze oblicze.....	52
Rozdział IX w którym Xiao próbuje coś zaradzić i odwiedza niepoznanego dotąd mieszkańca rezydencji.....	56
Rozdział X o próbie opanowania sytuacji.....	60
Rozdział XI w którym na jaw wychodzi upiorna prawda.....	64
Rozdział XII w którym dzieją się rzeczy mniej lub bardziej nieoczekiwane.....	76
Rozdział XIII o ranach na ciele i duszy.....	84
Rozdział XIV w którym Xiao spotyka przybysza z Krainy Zachodzącego Słońca.....	95
Rozdział XV o tym, jak znaleźć klasztor zagubiony pośród gór.....	100
Rozdział XVI w którym Xiao pielgrzymuje po bezdrożach.....	106
Rozdział XVII w którym ludzkim słowem towarzyszą niebiańskie znaki.....	113
Rozdział XVIII o wyrokach odroczonech.....	124
Rozdział XIX w którym Xiao podąża trudną drogą – dosłownie i w przenośni.....	133

Rozdział XX	
w którym Xiao walczy z niechęcią, ale niechętnie.....	139
Rozdział XXI	
wypełniony gawędą i komentarzami do niej.....	147
Rozdział XXII	
w którym nasz bakałarz jest egzaminowany.....	155
Rozdział XXIII	
o niemoralnej, choć niezobowiązującej propozycji.....	162
Rozdział XXIV	
o fatalnym, choć nie zabójczym zauroczeniu.....	170
Rozdział XXV	
o dogadywaniu się zmysłów z rozumem.....	176
Rozdział XXVI	
w którym dzieje się to, czego Xiao oczekiwał.....	180
Rozdział XXVII	
w którym Xiao toczy zmagania, by dojść, czego tak naprawdę oczekuje.....	185
Rozdział XXVIII	
w którym dzieje się coś, czego Xiao nie oczekiwał.....	189
Rozdział XXIX	
w którym człowiek ze snu pokazuje swe oblicze.....	196
Słowo o transkrypcji.....	202

Rozdział I

w którym koniec zwyczajnego dnia przynosi początek niezwykłych wypadków.

– Xiuxiu!

Dziewczyna zignorowała wołanie ojca. Leżąc na długich, wyblakłych bambusach trawki, z podbródkiem wspartym na dłoniach, patrzyła na zachód, gdzie w rozmigotaną toń zapadał właśnie już prawie nieoślepiający okrąg słońca. Pożegnalne światło złociło wieczorną szarość pól ryżowych, ciągnących się jak okiem sięgnąć po obu stronach Długiej Rzeki. Całą okolicę, ujętą w dwa zaborczo zakrzywione łańcuchy wzgórz, porzniętych pasmami nocnego cienia, blask zmieniał w olbrzymie jezioro.

– Xiuxiu!! Gdzieś znowu polazła...

Jeszcze chwilę, pomyślała Xiuxiu, chłonąc oczyma ostatnie blaski tonącego w wąskim prześwicie słońca. Tylko kilka żagli pstrzyło nieskazitelnie naturalną scenę wieczoru. Z drugiej strony, w dół nurtu, rzekę orały całe flotylle dzonek, ale tu, bliżej Przełomu Trykających się Baranów, gdzie oba łańcuchy wzgórz zbliżały się groźnie do siebie, nurt był zbyt wartki i zdradliwy.

– Xiuxiu!!! Utopiła się czy co! Jeśli w tej chwili...

Słońce posłało ostatni rozpaczliwy błysk i zniknęło, utonawszy między stromymi ścianami przełomu. Kilka rozciągniętych obłoków kapało jeszcze lotnym złotem, ale nie starczało go już, by ożywić omroczniałe przestwory podtopionych pól. W powietrzu zadrżał chłód.

– Jestem!

Tratwa zachybotała, gdy dziewczyna przeskoczyła na pokład dzonki. Ojciec miał na twarzy wyraz surowej dezaprobaty, musiał jednak dostać lepsze niż zwykle pieniądze od gospodarza pola, bo nie zrugął córki, tylko ruchem głowy wskazał jej burtę z trzciniowymi klatkami. Wiedziała, co robić.

Robiła to samo co wieczór od lat.

– Lalalalalei! – zaśpiewała głosem czystym jak woda spływająca ze świętych gór i sięgnęła po bębenek. Łagodne dźwięki popłynęły ku polom ryżowym, przyzywając na nocleg strudzone po całym dniu pracy kaczki. Już wkrótce chmara pstrych ptaków jęła sunąć przez ciemną toń ku dżonce. Po sposobie, w jaki płynęły, Xiuxiu od razu dostrzegła, że były najedzone. Gospodarz musiał mieć solidnie zachwaszczone pole, pomyślała.

Ojciec ruszył wzdłuż szeregu klatek, spuszczać na płyciznę bambusowe mostki. Wnet pierwsze kaczki jęły gramolić się po pochyłościach do swych nocnych schronień. W miarę, jak przybywało ich coraz więcej, kwakanie i bicie skrzydłami donośniało. Rejwach wyciągnął na pokład Shaoshao, starszego brata Xiuxiu. Ziewając, patrzył tępo, jak ptactwo przepycha się do klatek. Dostał już zaszczytu jeżdżenia z ojcem po wioskach, żeby układać się z gospodarzami, i od zaganiania kaczek z pól wolał bardziej męskie zajęcia.

– Shaoshao, drzwiczki!

Ojciec uznał najwidoczniej, że wyrośnięcie z chłopaka na młodego mężczyznę nie uprawnia do lenistwa, zwłaszcza gdy brak rąk do pracy. Shaoshao skrzywił się, ale posłusznie chwycił za sznury i wprawnie nimi manewrując, jął zamykać drzwiczki wypełnionych klatek.

Większość ptaków już przyplnęła. Nadciągały jeszcze pomniejsze grupki, ale nie śpiesząc się, jak gdyby nie zależało im na noclegu w bezpiecznych pieleszach dżonki. Zawsze jakieś ptaki zostawały na rzece, nie uszczuplało to jednak całego stada, bo przy każdym zwoływaniu z pól przyłączały się doń sieroty po innych gromadach. Do ojca należała decyzja, kiedy uznać, że nie warto już czekać na maruderów.

Ale ten wieczór miał być inny.

Niedaleko dwa tuziny, a może nawet więcej kaczek nie rozpraszało się ani nie sunęło ku dżonce. W zamian uformowały nieregularny krąg i skubały jakiś ciemny kształt unoszący się na wodzie. Okolicę we władanie brała już pomroka, uniemożli-

wiając dojrzenie, co zatrzymało ptaki. Jedno dało się rzec na pewno: było ich zbyt dużo, by pozostawić je pośród pól.

– Niech to lis porwie – warknął ojciec i zdecydowanym, wprawiającym pokład w kołysanie krokiem ruszył ku przycumowanej do burty tratwce. Po chwili ku opornemu stadku ruszył smukły cień. Plusk żerdzi zagłuszył rozemocjonowane kwakanie. Wyteżając wzrok, Xiuxiu dojrzała, że ojciec wyciąga z wody coś ciężkiego i opornego. Kiedy zawrócił, płynął wolniej, a żerdź nie pluskała rażno jak przedtem. Za to kaczki już bez ociągania zmierzały ku klatkom.

Dopiero kiedy tratwka podpłynęła pod samą dżonkę, Xiuxiu rozpoznała ładunek.

Był to człowiek.

Kolejny trup do pochowania, pomyślała bez większego zdziwienia. Ojciec często – zbyt często – opowiadał dzieciom, jak to kiedyś o mało co nie zginął, wciągnięty pod wodę przez ducha niepogrzebanego topielca. Opowieść dawno straciła walory fabularne, ale skutek odniosła. Dziś Xiuxiu wiedziała doskonale, że każdego napotkanego na rzece topielca trzeba pochować lub spalić na brzegu, bo inaczej duch będzie się mścił. Przygotowała się już więc duchowo na dodatkowe zadanie do wykonania nazajutrz. A może nawet dzisiaj, jeśli ojciec uzna, że nie wolno czekać...

– Pomóżcie – mruknął ojciec, cumując tratwę, a widząc nierozumiejące spojrzenia dzieci, wykrzywił usta. – Następny żywy, ale mocno poobijany.

Shaoshao podbiegł do burty i chwyciwszy człowieka za ramiona, pomógł ostrożnie wyciągnąć go na pokład. Xiuxiu także podeszła, ale patrzyła tylko, jak niedoszły topielec spoczywa na deskach, ociekając wodą. Był to młody mężczyzna w przewiązanym pasem chałacie nieokreślonego koloru, bez czepca, o rozpuszczonych przez nurt włosach. Czoło szpeciła mu blizna, spod bezprzytomnej obojętności na podsiniąłej twarzy przebierał zastygły ból.

– Tutaj.

Ojciec kiwnął głową w bok, Shaoshao posłusznie przeciągnął bezwładny mokry kloc pod zadaszenie obok masztu, chroniące od deszczu i słońca. Cała trójka stała przez chwilę w milczeniu, patrząc na kłopotliwy połów. Odratowany mężczyzna oddychał słabo, lecz regularnie. Wyglądało na to, że jeśli nie zachoruje od kąpieli w zimnych odmętach Długiej Rzeki, wyżyje.

– Wysadzimy go na brzeg? – spytał wreszcie Shaoshao, wytrącony ze stanu znużenia. – Można by popłynąć jutro do...

– Nie – uciął ojciec. – Przyda nam się do roboty.

Xiuxiu z trudem powstrzymała westchnienie ulgi. Odkąd ciąża matki uniemożliwiła jej ciężką pracę na pokładzie, córka nie miała już tyle co dawniej czasu na rozmyślanie o niebieskich longanach. Jeśli nieznajomy wyręczy ją w...

– A jak nie będzie chciał?

Ojciec spojrzał na Shaoshao przez tężejący mrok.

– To wróci tam, skąd przybył – prychnął i skinął na syna. Schwyciwszy ciało za ręce i nogi, ruszyli pod dach.

Xiuxiu otworzyła im drzwi do izby mieszkalnej. W ciepłym zaduchu i trzepotliwym świetle lampek łożowych, pośród zgromadzonego w beładzie rodzinnego dobytku, leżała Weiwei, matka Xiuxiu i Shaoshao, a wkrótce trzeciego dziecka swego męża, Yina. Rodzina Shi znów miała liczyć pięć osób. Znow, bo pierworodny, Hua, zmarł w Roku Tygrysa na rozognienie trzewi.

Ciężarna z trudem podniosła głowę z maty i spojrzała na wchodzących. Twarz miała zmęczoną i senną, usta blade. Milczała. Od kilku tygodni coś ją trapiło, ale ciąża nie wydawała się zagrożona – na sprowadzenie lekarza było wciąż zbyt wcześnie. I zbyt biednie.

– Tutaj – mruknął Yin, wskazując synowi ciemny kąt. – Przebierz go w coś suchego. Gdy się jutro ocknie, będzie pod twoją opieką. Ja nie mam czasu.

Xiuxiu dojrzała na twarzy Shaoshao niezadowolenie. Chłopak nie śmiał jednak protestować, tylko bez słowa zaczął wykonywać polecenie ojca.

– Ty idź robić kolację. – Yin zajął się teraz córką. Skinęła posłusznie głową, gdy wtem pochylony nad nieprzytomnym mężczyzną Shaoshao wyprostował się strzeliście.

– Ojczy, spójrz!

W półmroku zalśniła srebrna spirala.

– On miał w pasie takie coś!

Yin bez zwłoki wyrwał Shaoshao z ręki błyszczący przedmiot.

– To miecz, ale czemu taki... – mruczał, wymachując giętką klingą, która nagle zeszywniała z jęklwym dźwiękiem. – O!

Dłuższą chwilę przyglądał się orężowi, a potem skinął wolną ręką na rozczarowanego syna.

– Dawaj ten pas... Kogośmy w rzece znaleźli, proszę, proszę... – mruczał. – To będzie w mieście sporo warte... – Napatrzywszy się, ujrzał kątem oka, że syn czeka nie wiedzieć na co. – Co jest, wracaj do roboty! Ty też! – ponaglił stojącą równie bezczynnie Xiuxiu.

Kiedy rozczarowane dzieci zaczęły wykonywać polecenia, Yin jeszcze raz dokładnie obejrzał miecz. Trochę czasu zajęły mu manipulacje mające na celu przywrócenie klingi do giętkiego stanu. Wreszcie, naciskając niezgrabnie ostrze dłonią, zdołał zrealizować zamiar. Schował zdradziecką broń do pasa, a ten zapiął sobie pod chałatem. Potem podszedł do żony. Ciemne plamy oczodołów jeszcze bardziej pociemniały w wybladłej twarzy, gdy podniosła wzrok. Nachylił się i spojrzał w jej niezdrowo błyszczące oczy.

– Taki tam, niedotopiony – wyjaśnił. – Wydobrzeje, popracuje parę tygodni i się go odwiezie na brzeg. A jak nie wydobrzeje, to się go ładnie pochowa. Po śmierci nie będzie miał powodu na nikim się mścić.

Kobieta uśmiechnęła się blado.

Niebawem Xiuxiu wyszła na pokład. Ostatnie wieczorne zorze spelzły już w nicłość w ślad za słońcem, ale niebo nie zdążyło na dobre się zmroczyć, nim rozświeciły je gwiazdy. Poniżej, w objęciach wzgórz, odcinających się matową czernią od obasypanego srebrem nieba, błyszczwały złote punkciki chat i statków. W dole rzeki, na północnym brzegu, jarzyło się większe ich skupisko – miasteczko Jiangcheng.

Xiuxiu, ileż można czekać!

To nie ojciec – choć głos był ludzaco podobny – tylko wyobraźnia dziewczyny ostrzegła ją, że zbyt długo już traci czas na jałowe rozglądanie się po okolicy, zamiast robić to, co do niej należy. Być może zajęty czym innym Yin wcale by tak prędko nie zawołał, ale Xiuxiu już instynktownie kojarzyła podziwianie widoków z nagłymi krzykami. Nie zwlekając dłużej, zdjęła z wierzchu zadaszenia ususzone na słońcu długiego dnia ryby i wróciła pod pokład, zostawiając za plecami niedosięte przestworza nocy.

Jeśli chcecie się dowiedzieć, co i jak z niedoszłym topielcem, przeczytajcie kolejny rozdział!

Rozdział II

o trudach stawiania pierwszych kroków na nowo...

Nie, ciemność miał nie tylko pod powiekami. Mrugał, czuł, że to robi, lecz ciemność była wszędzie wokół.

Czy się przestraszył?

Nie, po prostu przyjął ten fakt do wiadomości. Dłuższą chwilę toczył oczyma, szukając choćby najmniejszego źródła światła. Gdy nie znalazł, sięgnął po kolejny zmysł.

W ciemności nie był sam. Słyszał nieopodal oddechy kilku osób. Ilu i jakich, tego dowiedział się nieprędko. Wsłuchawszy się uważnie, rozpoznał w końcu cztery odmienne oddechy, w tym jeden należący do bardzo młodej osoby, a inny do kogoś chorego. W tle rozlegał się jednostajny, cichy, lecz potężny szum. Po dłuższym czasie doszedł do wniosku, że to nie woda w uszach.

Teraz skupił się na własnym ciele. Czuł się słaby, było mu niewygodnie i źle. Pod czaszką pulsował tępy ucisk, w płucach bolało przy głębszym oddechu, nogi miał jak ze słomy. Pokręcił stopami – ruszały się wolno jak owinięte szczelnie bandażem. Próbował unieść ramię, ale opadło drżące i rozbolełe. O mało nie syknął. Tylko w bezruchu ból stawał się znośny.

Szorstki dotyk materii okrywającego go ubioru dał mu znać, że ma na sobie cudze – i gorsze – ubranie. Zmarszczył nos; przenikająca je woń należała do innego człowieka. Ale było suche i ciepłe, a on czuł, jak dojmujący ziąb niechętnie, lecz nieodwołalnie wycofuje się w głąb steranego ciała.

Gdzie się znajdował?

Dopiero teraz wyczuł słabe kołysanie. W tej samej chwili w oko wpadł mu z boku okruch światła. Odwrócił głowę, ignorując bolesne tętnienie w skroniach, i wyteżył wzrok.

Zrazu nie dojrzał w ciemności nic – a potem mignęła ta sama iskierka. I znów znikła. A potem znów mignęła.

Gwiazda.

Widoczna przez okienną kratownicę.

Na statku.

Rozproszone dotąd myśli ustawiły się w szeregu jak żołnierze na rozkaz. W spowitym mrokiem mózgu wszystko znalazło się naraz na swoim miejscu. Ujrzał wyraźnie niczym w dziennym świetle, w jaki sposób znalazł się w wodzie, skąd najpewniej odratowali go mieszkańcy statku, na którym teraz przebywał.

Zamknął oczy, a potem otworzył je szerzej i wpatrzył się w migoczącą za oknem gwiazdę.

Żył. Ciało miał obolałe, umysł skołatany, ale żył. Kiedy leciał przerażony w dół, ku mrocznej topieli, wiedział, że nie ma odwrotu, że Smocza Rzeka pochłonie go łapczywie i wypluje tylko nędzne szczątki. Kiedy uderzenie w sunącą czerń przeszło go mdlącym bólem i wycisnęło z płuc powietrze, wiedział, że nurt nie pozwoli mu wypłynąć. Kiedy wirował w obcym żywiole, nie poznając, gdzie góra, gdzie dół, czując, że jego ręce i nogi na próżno mlóćą zimną kipieli, wiedział, że mylił się, sądząc, iż zgaśnie niczym zdmuchnięta świeca. Kiedy wreszcie wy dostał głowę z pianistych rozkrętów i zaczerpnął łyk palącego powietrza, wiedział, że ożywiona już w chwili skoku nadzieja umrze wnet po raz drugi – i ostatni. Potem była tylko ciemność, nieskończenie krótka, którą dopiero teraz wypełniły dźwięki, zapachy i ruch.

A więc jednak przeżył. Choć nie miał prawa.

Ale dlaczego w ogóle skoczył?

Zmrużył oczy, jak gdyby mogło mu to pozwolić zajrzeć dalej w głąb siebie. Znikąd przyplęnęło wspomnienie rozpaczy, która pchnęła go na krawędź... mostu?

– Skoczyłem z mostu – wyszeptał bezgłośnie.

Powinien być wdzięczny losowi – jeśli to był los – że ten nie usłuchał rozpacz, która pchnęła go na krawędź. Że w zamian spełnił nagłą i wszechogarniającą nadzieję, która obudziła się w straceńcu, ledwo ten puścił liny i runął w dół, w mrok, w niebyt.

Zadrżał. Na jeden moment wróciło doń tamto uczucie, dziki zamęt sprzecznych wrażeń, przenikliwa świadomość, że nie ma już powrotu, i przerażające przekonanie, że poza tą jedną, ostatnią, mylną decyzją wszystko inne można zmienić. Następne – sądził wtedy, że ostatnie, najostatniejsze – chwile wypełniło mu zdumienie, że to dzieje się naprawdę, strach, że dzieje się tak okropnie, i nadzieja, że skoro wciąż się dzieje, to może przestać. Nadzieja walcząca o lepsze z wiedzą, że z czegoś takiego nie można ująć z życiem.

A jednak.

Nie był panem swego losu.

Gdyby nim był, gnąłby teraz gdzieś w szuwarach, połamany, skubany przez ryby, toczony przez robactwo. Ale żył i był cały – przynajmniej na tyle, na ile mógł to ocenić, leżąc i prawie się nie ruszając.

Zagryzł zęby. Tak, żałował jak niczego w życiu, że porwany bezdenną bezsiłą wstąpił na tamten most, chcąc wszystko skończyć raz na zawsze. Ale pamiętał, wiedział, rozumiał, dlaczego chciał skończyć.

Właśnie po to, by stać się panem swego losu.

A jednak siły, przed którymi chciał uciec, okazały się silniejsze.

Zawsze miał ogromny szacunek dla samobójców. Któż nie miał? Ale samobójstwo samobójstwu nierówne. Przypomniawszy sobie Pinga, który powiesił się na bramie wszetecznego notabla Suna. Tamten nieszczęśliwy człowiek osiągnął swój cel, skutecznie dążył do sprawiedliwości, tak na tym, jak na tamtym świecie. Jego dostojny skon zwrócił uwagę ludzi na dziejące się tuż pod ich nosami straszliwe zło, a jego

groźny duch wymierzył zbrodniarzowi surową karę. To miało sens, to było godne szacunku i pamięci.

Ale on? Jego próba targnięcia się na życie nie była odważnym czynem, tylko krzykiem rozpacz – a może raczej jękiem zmęczenia. Nie była dążeniem do czegośkolwiek, tylko ucieczką od wszystkiego.

I dokąd?

Był tylko nędznym bakalarzem, podrzędnym pisarczykiem, młodzieńcem bez większych osiągnięć ani znaczącej pozycji. Nie zakończył życia dla szczytnego celu – wymierzenia sprawiedliwości, okazania wierności, wypełnienia obowiązku. Nikt nie spali na jego pogrzebie papierowych pieniędzy, domostwa, orszaku konnego. Wszystko to sprawiało, że po śmierci nie mógł liczyć na dobrą posadę w niebiańskiej administracji. Ba, na żadną. Byłby nikim – pozbawionym znaczenia, celu, wartości duchem bez szansy na zaświatowe szczęście.

A gdyby wrócił?...

Przecież wrócił, dokładnie tam, skąd chciał tak lichy uciec.

Ale teraz mógł przynajmniej odkreślić pędzelkiem tamto życie.

Iskierka za oknem przestała mrugać; w zamian do środka jąła się wlewać lepka szarość przedświt. Leżąc, patrzył, jak z nocy stopniowo budzi się wnętrze pomieszczenia. A wraz z nim mieszkańcy.

Pierwszy wstał mężczyzna. Wysoka sylwetka sięgnęła głową sufitu, a potem pochyliła się. Z płożącej się na podłodze pomroki podniosła się kolejna postać, należąca chyba do młodzieńca, zapewne syna. Skrzypnęły drzwi, do wnętrza wdarła się nowa fala szarości. Wyszli obaj; wkrótce ciszę brzasku zburzyło kwakanie kaczek, plusk i szum. Na ten dźwięk z maty podniosła się młoda dziewczyna i nieoczekiwanie podszła do leżącego. Zdążył zamknąć oczy, nim znalazła się zbyt blisko. Stała chwilę cicho, a potem jąła krzątać się po pomieszczeniu. Tylko jedna osoba, ta oddychająca z wysileniem, spała nadal. Rozpoczął się dzień.

Czym go wypełnić?

Bakalarz poczuł naraz przemożną senność. Nie wiedział, jak długo po skoku był nieprzytomny; dość, że nieświadomość to nie to samo, co sen. Teraz nie walczył, tylko z rozkoszą bezwładu pozwolił się omamić i znieczulić napływającej ciemności.

Cóż go czekało, gdy wrócił do rzeczywistości? Czytajcie dalej!

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

Fantastyka w nowej formie

Oficyna wydawnicza

RW2010

Dobre ebooki
w dobrej cenie

www.rw2010.pl